Marek Opaska

„Czarny Kruk”

Wstęp

Czuła się jak papierowy samolocik na wietrze. Smagana podmuchami południowo-zachodniego wiatru. Spadała bezwiednie, jakby w jednej chwili, przestały jej działać wszystkie silniki. Czuła pod sobą opór powietrza. Miała wrażenie, że wiatr próbował uchronić ją przed wydłużającymi się mackami grawitacji. Jakby cały system operacyjny jej życia się resetował. Oddalała się coraz dalej od nieba. Nieba, którego zawsze pragnęła dotknąć. Marzyła, aby pewnego dnia wejść na najwyższe drzewo w dżungli i gdy chmury będą dostatecznie nisko, nawinąć puchaty wytwór atmosfery na patyk, a potem skubać ją jak słodką watę cukrową. Niestety, nie dane jej było poznać kleistej, cukrowej konsystencji tego, uwielbianego przez dzieci, deseru. Nie dlatego, że spadając, trudno jest taką watę zamówić, ale dlatego, że urodziła się już w czasach, gdzie takie cukrowe przyjemności nie istniały.

Podobno ludziom, którzy spadają z wysokości, przez te kilka sekund, całe życie przelatuje przed oczami a ona myślała teraz tylko o tym, co się stało w jej nudnym życiu przez kilka ostatnich dni i o wacie cukrowej. Czy to nie dziwne?! Jeszcze tylko ten ryk miała w uszach. Nie dawał jej spokoju. Ten okropny, przeraźliwy ryk, przez który straciła koncentrację i znalazła się w tym nieważkim położeniu. Tylko raz w życiu słyszała tak ostry i doniosły okrzyk wydawany przez zwierzę. Gdy miała cztery lata, wybrała się z ojcem na polowanie. Była tam świadkiem sceny, jaką zapamięta do końca życia. Wataha wilków zagoniła wielkiego Łosia wraz z młodymi pod załom skalny. Gdy rogacz uświadomił sobie, że został zapędzony w kozi róg, pozostało mu tylko jedno wyjście. Walka na śmierć i życie. Zapamiętała też, że w powietrzu czuła połączenie zapachu: jemioły, jodły i strachu. Nie swojego strachu. Ona przy ojcu z bronią była bezpieczna. Jej tata nie mógł dłużej wytrzymać tej nierównej walki i straszliwego widoku, jaki zaraz mogła doświadczyć jego mała córeczka. Załadował ciężki, czarny pistolet, czerwonymi, cylindrycznymi nabojami. Czerwień w ciemno-zielonym lesie, przy zbliżającym się zmroku, aż biła po oczach. Po czym wystrzelił nad walczące zwierzęta dwie flary, które niespodziewające się niczego wilki, oślepiły ostrym, jarzącym się światłem. Huk wystrzału tak je przeraził, że zanim flary opadły na ziemię, już ich nie było. Popędziły w las niczym małe, strachliwe króliczki. Łoś z rodzina został uratowany. Ryk się skończył.

Odwróciła głowę w lewo. Widziała, że konary są już daleko w górze. Czarny kruk siedział na jednym z nich i wlepiał w nią swe czarne jak smoła oczyska. Pień stawał się coraz grubszy. Po lianach nie było już śladu. Wiedziała co to znaczy. Jej ostatni w życiu lot się zakończył. Pora wysiadać. Nie poczuła jednak bólu. Nie czuła korzeni wciskających się w jej delikatne, filigranowe ciało. Jedyne co czuła, to smród

mokrego futra. Zapach stęchlizny, jakby ktoś zrobił pranie i przez miesiąc nie wyjmował go z ciemnego, wilgotnego, pozbawionego słońca i powietrza miejsca. Zrobiło jej się niedobrze. Zamknęła oczy, aby wyobrazić sobie przyjemniejsze zapachy i odgonić od uczucie napływającej do ust śliny. Momentalnie, owładnęły nią silne, nie znające sprzeciwu, ramiona czekającego już na nią Morfeusza.